

Powrót do lektur z młodości bywa często bolesnym rozczarowaniem. Zdarza się, że zadziwia nas fascynacja żywiona niegdyś dla książki sprzed lat, nie potrafimy sobie odpowiedzieć z sensem, co nas w podziwianych lekturach tak bardzo zachwycało. Czas jest retortą, która bezlitośnie odsiewa słabości i mielizny podziwianego niegdyś dzieła, ponowna lektura pozostawia nas często w stanie nieukozonej dystrakcji. Ale bywa też odwrotnie: powracając po latach do wielbionej przed laty książki, orientujemy się, że nie straciła ona nic ze swoich dawnych walorów. Więcej: odkrywamy ze zdumieniem, że z czasowego oddalenia widać może nawet lepiej niż kiedyś jej atuty. Tak właśnie zdarzyło mi się po latach z lekturą jednej z najważniejszych książek mojej antropologicznej młodości: *Morza Śródziemnego i świata śródziemnomorskiego w czasach Filipa II* pióra Fernanda Braudela.

Miało się okazać, że czytane raz jeszcze po latach arcydzieło francuskiej historiografii nie straciło nic ze swojego literackiego powabu i rewolucyjnego wówczas podejścia do materii historycznej. Po ponad półwieczu od wydania tej książki wciąż stoimy zdumieni wobec niebywałej pamięci i erudycji autora (napisał ją w ciągu pięcioletniego pobytu w ośrodku, bez możliwości korzystania z bibliotek i kwerend źródłowych), wciąż budzi w nas podziw epistemologiczny gest stojący u jej źródeł, olśniewa obecna w niej impresywna siła historycznej syntezy. To tu zarysowuje Braudel nowy sposób spojrzenia na proces historyczny. Pokazuje go nie jako zwykłe następstwo zdarzeń – co stanowiło znak rozpoznawczy klasycznej historiografii – ale jako skomplikowaną strukturę o przenikających się wzajemnie różnych rytmach czasowych. Najpierw rekonstruuje to, co stałe, statyczne, niemal niezmiennie, następnie w tej nieruchomej strukturze długiego trwania dostrzega pasma czasowo zmiennych koniunktur, a dopiero na samym końcu w tej „przestrzeni” różnych czasowych zmienności lokuje to, co zwykle świeci najjaśniej: wydarzenia natury politycznej. Ten układ nie jest deterministyczny, wyznacza jedynie i określa pole możliwości dziejącej się historii. Najszerzą ramą czasowo-przestrzenną w książce jest geografia: Morze Śródziemne i jego najbliższe otoczenie. A tytułowy Filip II zostaje w niej finalnie osadzony jak wisienka na torcie. Dopiero po zrekonstruowaniu tej ramy, twierdził Braudel, można pokusić się o opis pojedynczych zdarzeń z hiszpańskiej polityki Złotego Wieku. Oto prawdziwa miara heurystycznego przełomu.

Morze Śródziemne nie jest dla Braudela zwykłym, rutynowym „przedmiotem badań”. Przeciwnie: to obiekt nieskrywanych namiętności i pasji poznawczej. W przedmowie do I wydania książki czytamy:

Namiętnie pokochałem Morze Śródziemne, niewątpliwie dlatego, że przybyłem z Północy, jak tyłu

Mare nostrum, mare monstrum

innych i po tylu innych. Poświęciłem mu z radością długie lata studiów – to dla mnie znacznie więcej niż cała młodość. W zamian mam nadzieję, że trochę tej radości i wiele blasku Morza Śródziemnego załśni na stronicach tej książki. Ideałem byłoby, niewątpliwie, przedstawienie bohatera zgodnie z naszymi upodobaniami, jak czynią powieściopisarze, niegubienie go ani na chwilę z oczu, nieustanne przypominanie jego wielkiej postaci. Na nieszczęście, czy na szczęście, zawód nasz nie zna zachwycającej giętkości powieści. Czytelnik, który będzie chciał ustosunkować się do tej książki tak, jak tego pragnę, uczyni zatem dobrze, jeśli wniesie własne wspomnienia, swoje wyobrażenia Morza Wewnętrznego i ubarwi nimi – ze swej strony – mój tekst, pomagając mi w odtworzeniu rozległej obecności tego morza, do czego, jak mogłem, dążyłem... Myślę, że samo morze – takie, jakie można widzieć i kochać – pozostaje najważniejszym z dokumentów swojej przeszłości¹.

Dla Braudela Morze Śródziemne to niemal żywa osoba, główny bohater nienapisanej co prawda powieści, ale z pewnością centralny obiekt jego wielowątkowej i wciągającej narracji historycznej. Czytając książkę, cały czas mamy pewność, że to bohater żywy, zmienny, o własnej, niepodrabialnej osobowości; choć zmienia się w czasie, to zmiany te dotyczą raczej akcydensów niż tego, co w nim substancjalnie istotne. To rzeczywistość złożona, opalizująca różnymi znaczeniami i odniesieniami. To obiekt o wyraźnym charakterze, ale wymagający wielu różnorodnych podejść dla uchwycenia jego specyfiki. Mimo jasno zarysowanych granic geograficznych – nieuchwytny, wymykający się analizie, *vanishing point* historycznego poznania:

Nielatwo było zrozumieć, jaką postacią historyczną może być właściwie Morze Śródziemne; trzeba było cierpliwości, wielu wysiłków i na pewno jakichś nieuniknionych błędów. Nic jaśniejszego jak Morze Śródziemne w oczach oceanografa, geologa, czy nawet geografa: są to dziedziny rozpoznane, sklasy-



fikowane, wytyczone. Ale w oczach historyka? Sto uzasadnionych rad przestrzega nas: nie jest ono tym, nie jest ono tamtym; nie jest samowystarczalnym światem samym w sobie, ale tym bardziej nie jest zagrodzoną łączką. Biada historykowi, który uważa, że ta wstępna kwestia nie istnieje, że Morze Śródziemne jest postacią nie wymagającą określenia, od dawna bowiem określoną, zrozumiałą, bezpośrednio rozpoznawalną, którą ogarniamy przez podzielenie historii powszechnej wedle znaków wytyczających jej kontury geograficzne².

Wydawać by się mogło, że przedmiot badania jest precyzyjnie określony kartograficznie, więc zadanie, przed którym stoi historyk – choć może niełatwe, zważywszy na rozległość przestrzeni do opisanego – nie należy jednak do szczególnie uciążliwych. Nic bardziej złudnego. Morze Śródziemne i okalający je świat śródziemnomorski to mozaika kulturowej różnorodności, rzeczywistość głęboko uwarstwiona historycznie, a nierównomierność rozwoju i wprężenie obszarów przymorskich w różne rytmy czasowe stawia przed badaczem gigantyczne trudności. W latach 70. ubiegłego wieku ukazał się podpisany przez trójkę autorów popularny w zamyśle apendyks do głównego dzieła Braudela, zatytułowany *La Méditerranée. L'espace et l'histoire*. We wstępie do tej książki, poświęconej różnym aspektom kultury śródziemnomorza i nieograniczonej cza-

wo do wieku XVI, kierujący całym przedsięwzięciem Braudel pisał:

Cóż to jest region Morza Śródziemnego? Tysiąc rzeczy naraz. Nie jeden krajobraz, lecz niezliczone krajobrazy. Nie jedno morze, lecz cała ich plejada. Nie jedna cywilizacja, lecz cywilizacje nawarstwione, jedne na drugich. Podróżować po regionie Morza Śródziemnego to znaczy odnajdywać świat rzymski w Libanie, prehistorię na Sardynii. Miasta greckie na Sycylii, obecność Arabów w Hiszpanii, islam turecki w Jugosławii. To znaczy zanurzyć się w miąższ wieków głęboko, aż po megalityczne budowle na Malcie czy piramidy egipskie. To znaczy spotykać rzeczy prastare, które wciąż jeszcze żyją i ocierają się o nowoczesność: tuż obok zwodniczego bezruchu Wenecji – aglomeracja Mestre; obok łodzi rybackiej, która jest jeszcze łodzią Ulissego, trawler pustoszący dno morskie albo olbrzymie zbiornikowce. To znaczy – jednocześnie zanurzać się w archaiczność światów wyspiarskich i zdumiewać pierwszą młodością bardzo dawnych miast, otwartych na wszystkie wiatry kultury i zysku, pilnujących od wieków i karmiących się morzem³.

W *Odysei* i *Iliadzie* słowem na oznaczenie „morza” było greckie *thalassa*: „Samo słowo, w oczywisty sposób onomatopeiczne, próbuje – by tak rzec – samą warstwą dźwiękową naśladować dźwięk tego, co opi-

suje. Choć, rzecz jasna, żadne słowo nie jest w stanie oddać sprawiedliwości melodyjnemu, ustawicznemu, uwodzącemu rozbijaniu się fal o morskie wybrzeże⁴. Dla Braudela wody Morza Śródziemnego są mikrokosmosem, światem w pomniejszeniu. Istotne elementy jego portretu odnajdziemy w różnych określeniach i metaforach jego dwutomowej sagi o *Mare nostrum* i późniejszego aneksu. Oczywiście, trzeba pamiętać, że w przedstawionym tu panoramicznym skrócie znikną detale i niuanse, ale zabieg ten pozwoli przynajmniej na zarysowanie głównych konturów nakreślonego przez francuskiego historyka obrazu morza. Spróbujmy zatem krótkiego *resumé*.

Najpierw więc morze było p r z e s k o d ą – przez wiele stuleci żeglarze zachowywali dużą ostrożność, wyprawiali się na nieduże odległości, najczęściej wzdłuż brzegu, a cel podróży był w zasięgu wzroku. Sama natura zmiennych, nieprzewidywalnych wód była zagrożeniem: „Morze Śródziemne rzadko bywa spokojne i gotowe służyć człowiekowi. Jest to morze grzmocące, w całym znaczeniu tego słowa”⁵. Ten przymiotnik to jakby dalekie echo powtarzającego się w *Iliadzie* i *Odysei* epitetu: *poluphloisbos thalassa*, huczące morze, w którym jest i poezja, i celna proza rzeczowej obserwacji. W istocie, morze wzbudzało lęk, wody były zagrożeniem, niewiedza o akwenach oddalonych od brzegu powodowała u żeglarzy niechęć do wypłynięcia na otwarte wody. Jeszcze w XVI wieku żeglowanie po pełnym morzu należało do rzadkich wydarzeń, a nieliczne próby podejmowane przez śmiałości oceniane były bardzo wysoko. Z czasem – wraz ze wzrostem wiedzy nautycznej i coraz większym rozwojem floty – morze stawało się bardziej przyjazne. Z początkowej przeszkody po wielu stuleciach stało się raczej ł a c z n i k i e m i w i ę z i ą, miejscem spotkań, agorą, placem handlowym: „Morze Śródziemne jest prastarym rozdrożem. Od tysiącleci wszystko spływało ku niemu, wklajając i wzbogacając jego historię: ludzie, juczne zwierzęta, wozy, towary, okręty, idee, religie, style życia. Nawet rośliny”⁶. Ten skupiający, jednoczący światy, ludzi i kultury charakter Morza Śródziemnego usprawiedliwia jego rzymską nazwę *Mare Nostrum*, n a s z e morze; nie czyjeś, ale nasze, wszystkich tych, którzy wokół niego mieszkają, którzy uprawiają ziemię, poławiają, handlują i którzy – czemu nie – walczą na jego wodach o swoje interesy militarne i polityczne.

Co szczególnie godne zauważenia: Braudel opisuje morze i świat śródziemnomorski jako przestrzeń będącą w ustawicznym ruchu, to pole nieustannych przemieszczeń ludzi i zwierząt. W jego opisach ten statyczny obszar geograficzny ożywa, nasycza się barwami, mówi różnymi głosami i językami, zamienia się w ruchome obrazy. To wielopoziomowa sieć kontaktów i zależności: „Region śródziemnomorski to przede wszystkim powiązane ze sobą drogi morskie i lądowe, drogi, a więc również miasta – małe, średnie, i największe – które

podają sobie nawzajem ręce. Drogi i jeszcze raz drogi, to znaczy cały system komunikacyjny”⁷. Śródziemnomorze to nade wszystko miejsce spotkań: językowych, handlowych, religijnych, artystycznych i politycznych. To przestrzeń ścierania się różnych – niekoniecznie spójnych – wizji świata. Morze Śródziemne to jeden wielki szlak, biegnąca w różnych kierunkach d r o g a, utkana z licznych pośledniejszych traktów i ścieżek.

Wszystko to prowadzi do zasadniczej konkluzji: z opisów i analiz Braudela Morze Śródziemne wyłania się jako żywy organizm. Jako dynamiczna całość, zmienna, pulsująca, organicznie stopiona z ziemiami je okalającymi, z wyspami, które wyrastają z jego wód. Jest przestrzenią nieustannego ruchu, mobilności, wymiany dóbr i idei. Ostatecznie – jest ono emblematem samego życia w jego rozlicznych kształtach i formach, jest świadectwem i obrazem niepojętej żywotności. Nie tylko dlatego, że to życie podtrzymuje, bo dostarcza pożywienia, że bywa wielką s p i ą r n i ą dla ludzi zamieszkujących jego brzegi. Ale bardziej może dlatego, że z opisów Braudela wyłania się jako poręczna metafora życia w całej jego intensywności, że – bez żadnej przesady – mogłoby być adekwatnym obrazem tego, co Grecy nazywali *zoe*, życiem niezniszczalnym. Współgra to dobrze z intuicją o Morzu Śródziemnym jako kolebce wielu kultur i cywilizacji, zmiennych i zaskakujących w swoich formach jak jego linia brzegowa. W tej euforycznej wizji historiozoficznej świat śródziemnomorski jest uwarstwionym „tekstem”, złożonym z nadpisywanych wciąż na sobie kulturowych narracji, swoistym palimpsestem różnorodnych wartości i znaczeń. Z tego, co pisze Braudel, z licznych analiz cząstkowych i z ustaleń mających solidne poparcie w kwerendach źródłowych, z całej tej żmudnej i nieefektywnej roboty analitycznej, przebija nade wszystko niekłamany zachwyt nad żywotnością samego Morza Śródziemnego i kultur żyjących w orbicie jego promieniowania. W jego fascynacji fenomenem łańciskiego *Mediterraneus*, morza leżącego między ziemiami, morza wewnętrznego, jest podziw nad fenomenem wciąż odradzającego się, pulsującego zmiennością życia. Owszem, w swoich badaniach Braudel stara się być „blisko ziemi”, w opisach jest realistą, analizuje zwykłe życie realnych ludzi żyjących nad brzegami Morza Śródziemnego. Ale w tych uczonych eksklamacjach dałoby się też może dostrzec (między wierszami) przyczynek do mozolnie wznoszonej od czasu przewrotu renesansowego marmurowej budowli śródziemnomorskiego mitu. Chcąc nie chcąc, w swoim wielkim dziele Braudel wystawił pomnik morzu – esencji cywilizacji śródziemnomorskiej.

2.

Biegną do morza, już im nie zależy, by nie rzucać się w oczy, nikt nie chce być ostatni. Coraz szybciej, pędzą, dzieci uczone rąk rodziców. Docierają do

brzegu zakończonego kamiennym stopniem wysokim może na metr. Cumuje przy nim motorówka, morze jest spokojne, łódka prawie się nie kołysze, wskazują na pokład, pomagają sobie, wszystko w najlepszym porządku, żaden z przemytników już nie bije⁸.

Tak brzmi fragment z solidnego i wiarygodnego – bo relacjonowanego „z pierwszej ręki” – reportażu Wolfganga Bauera, który towarzyszył kilku zaprzyjaźnionym Syryjczykom w ich próbie przedostania się do Europy. Przemierzył wraz z nimi jeden z najczęściej wykorzystywanych morskich szlaków migracyjnych: od wybrzeży Egiptu do Włoch. Autor jest z uchodźcami od samego początku, od powzięcia decyzji o ucieczce drogą morską, uczestniczy w kilku zorganizowanych przez przemytników akcjach, dzieli z migrantami trudy podróży, przeżywa przechwycenie przez straż graniczną i osadzenie w więzieniu. Opisuje niepewność, wysiłek, strach, zmęczenie, straty finansowe, ale przede wszystkim psychiczne ludzi decydujących się na ten desperacki krok. W tym ostatnim określeniu nie ma żadnego nadużycia. W podróż morską udają się ludzie doprowadzeni przez wojnę i prześladowania do skrajności; to ci, którzy sprzedają resztki swojego dobytku, z najcenniejszymi rodzinnymi pamiątkami włącznie, by móc opłacić – niepewną i ryzykowną – drogę na europejski kontynent:

Są świadomi ryzyka. Słyszeli o łodziach, których silniki przestały pracować na pełnym morzu, i o takich, które zatoniły niemal u wybrzeży Włoch. Czytali o oszustach, którzy wysadzają pasażerów u wybrzeży Tunezji. Znają uciekinierów, którzy w ubiegłych miesiącach zostali złapani przez egipską straż przybrzeżną, obrabowani na plaży przez przemytników, którzy zranili się albo zginęli podczas skoku na łódź. Ale też wiedzą o wielu, którym się udało, którzy przetrwali dni strachu, by później, w Europie, już nigdy nie musieć się bać⁹.

Ich morskie przeprawy z niepewnym przewodnikiem za sterami nie są radosnymi wycieczkami turystycznymi na pełne morze. To podróże nadziei, czasem ostatniej nadziei. Opisana przed chwilą scena miała miejsce na egipskim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Jest tylko drobną częścią znacznie szerszego zjawiska. Wcześniej czytamy:

Jesteśmy częścią wielkiego exodusu. Od stycznia do lipca 2014 roku przez Morze Śródziemne przedostało się do Europy siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, większość z Libii. Jeszcze rok wcześniej było ich sześćdziesiąt tysięcy. Pochodzą z krajów objętych wojną, takich jak Syria, Somalia, z dyktatur, jak Erytrea, albo pragną życia w lepszych warunkach ekonomicznych¹⁰.

Doprawdy, trzeba trafiać, że akwen, który przemierzają uciekinierzy z nierozpoznanym dziennikarzem na pokładzie, został precyzyjnie opisany w dziele Braudela:

Trudno będzie jasno ukazać rolę tego morza bez nazwy, słabo wyodrębnionego, które między Afryką a Sycylią rozciąga swoje obfitujące w ryby głębiny, swoje ławice koralu i gąbek, swoje wyspy (często bezludne z powodu zbyt małego obszaru): Favignana, Marettimo, Levanzo u zachodniego cypla Sycylii; Malta, Gozo, Pentelleria na pełnym morzu; Tabarka, Galite, Zembra, Dżerba, wyspy Kerkenna w pobliżu wybrzeża tunezyjskiego. Jego granice odpowiadają granicom dawnego „mostu” geologicznego, który rozciągał się od Sycylii do Afryki: na wschodzie linia ta biegnie od Trypolisu do Syrakuz, na zachodzie od Bône do Trapani. Główna jego oś przebiega w kierunku północ-południe, od Sycylii do Afryki. Żywe stosunki Wschodu z Zachodem od Lewantu do Północy sprzyjają rozwojowi handlu. Ale ogólnie biorąc, morze to jest zwrócone w kierunku północnym, ku wielkiej drodze przez Cieśninę Mesyńską. I nie ma na nim, w sektorze Sycylia-Afryka, częstych prądów z północy na południe¹¹.

W zasadzie opis ten zachowuje zdumiewającą adekwatność także dziś. Pośród wymienionych z taką skrupulatnością wysp brakuje może tylko Lampedusy, ale może w wieku XVI nie miała ona większego znaczenia. Tak czy inaczej można by rzec, że od tamtych czasów niewiele na opisywanym przez Braudela wycinku Morza Śródziemnego się zmieniło. Nie da się zaprzeczyć, że most między Afryką a Sycylią w dalszym ciągu istnieje, utwierdzają nas w tym, niemal codziennie, utrzymywane w katastroficznym tonie komunikaty prasowe o kolejnych tragediach na morzu. W dalszym ciągu Wschód z Zachodem łączą ożywione stosunki; jak widać z cytowanego fragmentu wciąż – dokładnie tak, jak u Braudela – „sprzyjają rozwojowi handlu”. Tyle że dziś jest to handel ludźmi, a największymi beneficjentami w tych nielegalnych operacjach handlowych są przemytnicy. Trudno się też z nim nie zgodzić, że „morze to jest zwrócone w kierunku północnym” i że nie obserwujemy dziś „częstych prądów z północy na południe”. W rzeczy samej, ich kierunek jest dokładnie odwrotny: silny, nieprzerwany i wciąż potężniejący prąd statków, kutrów i pontonów z ludźmi płynie zdecydowanie w drugą stronę – z południa na północ. Ale porzucmy niestosowną może w tym miejscu ironię...

Cytuję fragment z Braudela i porównuję go z tym, co dzisiaj dzieje się na Morzu Śródziemnym, nie dla taniego efektu. Nie idzie mi o demagogiczne przeciwstawienie jasnego „kiedyś” (kiedy było lepiej) i brudnego „dziś” (kiedy wszystko się popsuło). Oczywiście, zachowane w Morzu Śródziemnym Braudel przedstawia je przede wszystkim w jasnych barwach, choć nie tylko.

Dobrze pamiętać, że opisywane morze było również areną cierpień ludzi zarabiających katorżniczą pracą przy wiosłach, że jego wody były przestrzenią realnych bitew morskich, jak choćby krwawa jatka pod Lepanto (1571), w której według szacunków po obu stronach zginęło lub ucierpiało około 40 tysięcy żołnierzy. Nie jest więc tak, że w wodach Morza Śródziemnego nikt wcześniej nie zginął.

Zestawiając klasyczny już opis historiografa z dzisiejszymi realiami, chcę raczej pokazać, jak w ostatnich latach doszło do perwersyjnej podmiiany utrwalonego – co ciekawe – zarówno w literaturze naukowej, jak i w potocznych wyobrażeniach modelowego obrazu *Mare Nostrum*. Dodać może trzeba, że jest to wizerunek Morza Śródziemnego oglądanego z europejskiej północy, co dla sprawy nie jest zupełnie bez znaczenia. Podmiana ta ma wszelkie cechy perwersji, czyli – etymologicznie rzecz biorąc – odwrócenia. Bez trudu można zaobserwować, że podstawowe elementy utrwalonej przyzwyczajeniem intelektualnej konstrukcji zostały co prawda zachowane, choć funkcjonują one dziś z radykalnie odwróconymi znakami. Kilka spektakularnych przykładów. Po pierwsze, jak widzimy, Morze Śródziemne dalej jest wielką drogą, wciąż służy różnym kontaktom handlowym, tyle że obecnie do głosu dochodzi także nowa jego odmiana, taka, która jest zaprzeczeniem podstawowego znaczenia wymiany handlowej, polegającej na wymianie dóbr materialnych. Po drugie, to przestrzeń, która, owszem, wciąż służy wymianie doświadczeń, tyle że są to doświadczenia z gatunku ekstremalnych, okupione cierpieniami, strachem i często śmiercią realnych ludzi. Po trzecie, to akwen morski, w którym wciąż spotykają się odmienne wizje świata, tyle że nie ma możliwości ich skonfrontować poznawczo, bo trudno jest dyskutować racje na uciekającej motorówce... I po czwarte, może najważniejsze: w charakterystyce Braudela Morze Śródziemne było jednak w znacznej części przestrzenią wolności, otwartym obszarem bez granic; dzisiaj jest miejscem, przez które przebiega solidna linia graniczna, tym bardziej osobiwa, że niewidoczna.

O tych właśnie granicach pisze celnie Wolfgang Bauer, rozpoczynając od wymienienia całkiem realnych zasieków granicznych:

Przemysłowcy wybierają coraz ryzykowniejsze trasy, ponieważ Kontynent coraz lepiej uszczelnia granice. Chroni go czterysta tysięcy policjantów. Europa zbudowała wysokie na sześć metrów mury w hiszpańskich enklawach Melilla i Ceuta. Umocnienia mające odeprzeć uciekinierów wzniosły Bułgaria i Grecja. Cieśnina Gibraltarska została wyposażona w kosztowne systemy radarów i kamer. Kontrolowana jest część Atlantyku między Wyspami Kanaryjskimi a Afryką Zachodnią. Do walki obronnej Europa rzuca policjantów, żołnierzy i jednostki specjalne

najrozmaitszych narodowości. Wykorzystuje helikoptery, drony i całą flotę. To taka rzesza oddziałów i taka ilość sprzętu, jakby przeciwstawiano się inwazji militarnej.

Granice Europy znów stają się strefami śmierci.

Pod murem berlińskim przez pięćdziesiąt lat zabito stu dwudziestu pięciu uciekinierów, a wolny świat widział w nim symbol okrucieństwa. Przy murach, którymi Europa otoczyła się po zakończeniu zimnej wojny, do wiosny 2014 roku zmarło blisko dwadzieścia tysięcy uchodźców. Większość utonęła w Morzu Śródziemnym. Żadna morska granica świata nie pochłonęła tylu istnień.

Morze Śródziemne – kolebka Europy – jest dziś miejscem, gdzie Europa najbardziej zawiodła¹².

Morze Śródziemne, które dla Braudela było – przypomnę – „dokumentem swojej przeszłości”, jest także świadectwem naszej teraźniejszości, a jego wody wiarygodnym lustrem, w którym możemy się przejrzeć. Co w nim widać? Okazuje się, że Morze Śródziemne, które jeszcze tak niedawno było metonimią życia, staje się dzisiaj, na naszych oczach, emblematem śmierci. Trzeba powiedzieć to jasno i wyraźnie: od kilku lat *Mare Nostrum* to – przy wszystkich swoich nieprzemijających powabach – wielkie cmentarzysko, morskie nekropolis. To morze, które pochłonęło w ostatnich latach dziesiątki tysięcy niewinnych istnień. Jedyną winą tych ludzi było to, że chcieli uciec od śmierci albo że chcieli znaleźć się w miejscu, w którym będą mogli rozpocząć nowe życie. To morze zmieniło się w ostatnich latach w *Mare Monstrum*. W morze, które pochłonęło dziesiątki tysięcy ludzkich istnień. To nie są już tylko wody życia, to także martwe wody śmierci. Nie sposób już dziś tego nie wiedzieć, trudno odwracać od tych śmierci głowę. Te śmierci również w jakiś sposób nas dotyczą. Ci wszyscy, którzy od lat postrzegali w swoich wyobrażeniach i fantazmatach Morze Śródziemne przede wszystkim przez pryzmat wiecznego błękitu i słonecznej poświaty, muszą przyjąć do wiadomości, że ich morze bezpowrotnie straciło niewinność. Jest morzem katastrof, niemym świadkiem tysięcy bezimiennych śmierci. Może im mniej nagłośnionych, tym bardziej przerażających.

Wiedzą o nich więcej ci, którzy mieli i mają z nimi bezpośrednią styczność. Jak doktor Pietro Bartolo z Lampedusy, który sprawuje opiekę medyczną nad wszystkimi bez wyjątku uchodźcami przybywającymi na wyspę: żywymi i martwymi. Pośród wysp Morza Śródziemnego to właśnie Lampedusa (obok Sycylii i Lesbos) jest dla wyruszających w podróż morską z Afryki pierwszym przystankiem w drodze do Europy. Jeżeli oczywiście uda się tam dopłynąć żywym. W swojej błyskotliwie i pieczołowicie rekonstruowanej filologii świata śródziemnomorskiego Predrag Matvejević pisał: „Nieszczęścia przysparzają talasonimów na

mapach Morza Śródziemnego”¹³. Lampedusa jest bodaj najbardziej znanym dziś talasonimem nieszczęścia świata zachodniego.

Pytany o swoje doświadczenia z uchodźcami, w odpowiedzi Bartolo unika letniej dyplomacji i retoryki politycznej poprawności: „Bo zazwyczaj jest tak, że ludzie słyszą o cierpieniu, o podróży przez morze, o dzieśiátkach czy setkach ofiar, może nawet się wzruszają, lecz ich wyobraźnia za tym nie nadąża. Za migawką obejrzaną w wiadomościach nie idzie przeżycie, które jątrzy, nie daje spokoju, nie pozwala spać. I wtedy nic się nie zmienia. A musi się zmienić, bo to niepojęte, że to wszystko dzieje się w XXI wieku. W dodatku tutaj, w sąsiedztwie, nie na antypodach”¹⁴. Jego opowieść o uchodźcach, realnych ludziach, z których każdy przed zejściem z pokładu przeszedł przez jego ręce, wypełniają – tak rzadkie dziś – empatia i współczucie:

Do załamań psychicznych dochodzi na ogół zaraz po dopłynięciu na wyspę. Ich cel to Europa i zniosą każde cierpienie, tortury, upokorzenie, bicie i gwałty, byleby tylko dotrzeć na miejsce. Są tak zdeterminowani, że wpisują w koszty podróży ryzyko śmierci. I wyruszają, chociaż wiedzą, że mogą utonąć. Wielu z nich nie potrafi pływać, większość wcześniej nie widziała morza. I tu, na miejscu, po tej całej męce, spotyka ich rozczarowanie. Nie są tam, gdzie chcieli się znaleźć. Dopływają na Lampedusę i, owszem, są wolni, ale to jest wyspa, a za tą wyspą jest kolejna wyspa, za którą dopiero jest kontur stałego lądu, który jednak nie jest Skandynawią, Niemcami, Anglią a nie Holandią. I wtedy się załamują. (...) Kiedy zajmujemy się żywymi, jest ze mną dwóch, czasem trzech lekarzy. Martwych badam jednak sam. Koledzy mówią: musiałeś się przyzwyczaić, robiłeś to tyle razy. Nieprawda, do tego nie da się przyzwyczaić. Śnią mi się co noc. Każdy, co do jednego. Przychodzą. Mam koszmary. Przede wszystkim kiedy badam ciała dzieci. Albo kobiet w ciąży, które urodziły w czasie katastrofy¹⁵.

Innym talasonimem uchodźczych tragedii jest Lesbos. Tu również pochowano dziesiątki tych, którzy nie zdołali dopłynąć do ziemi obiecanej. Dla nich wyspa okazała się ostatnią stacją znoszonej czasem miesiącami męki:

Słona woda najpierw zalewała im płuca, a później, gdy już przestawali się dławić, wyrzucała ich wiotkie ciała na kamieniste plaże. Zbiegali się więc żywi i podnosili spóźniony alarm. Pięć trupów. Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści. Czerdzieści. Pięćdziesiąt. Sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Osiemdziesiąt. Nikt dokładnie nie zliczył. Najgorzej było w październiku i listopadzie – śmierć szalała wtedy na Morzu Egejskim, wśród sztormów, co dzień i co noc. Zatłoczyła do granic miejscową

kostnicę i transportowy kontener z chłodziarką przywleczony na tyły budynku.

Patolog pobierał próbki DNA, prokurator wystawiał akty zgonu, mufti szykował całuny w rozmiarach od XS dla uchodźczych dzieci i niemowląt, przez kobiece emki, do XL dla rosnących mężczyzn.

Chowano ich w ciszy – bez żałobnych konduktów – zwróconych ku Mekce, na cmentarzu św. Panteleona, ma samym szczycie najwyższego wzniesienia miasta Mitylena, na obrzeżach oliwnego gaju, z obłędnym widokiem na morze i brzegi nieodległej Turcji.

Patrzyłem na ich groby w pierwszą niedzielę grudnia, ciepłą, słoneczną, bezchmurną. Niepozorne kopce ze świeżej ziemi, a na nich żółtła suchej trawy, kilka sztucznych, wyblakłych różyczek, kawałek marmuru z datą pochówku i napisem: „ágnostos”, czyli N.N. – „nazwisko nieznanne”¹⁶.

Śmierci, o których mówimy, są ciche, bezimienne, nie zostawiają po sobie kręgów na wodzie ani śladów w naszej pamięci. Niewielu o nich wie, interesują nielicznych. Zbyt wiele ich jest. Każde kolejne upodobiają się do poprzednich, ofiary sprowadzając do statystycznej masy. Pozostają niezauważone, bo nie można ich sprzedać medialnie, jak to się stało z niedawną, tragicomiczną w swej istocie – przy całym szacunku dla kilkudziesięciu ofiar – katastrofą ekskluzywnego statku Costa Concordia, nieopodal śródziemnomorskiej wyspy Giglio. Ewakuację pasażerów pokazano we wszystkich chyba telewizjach, unieruchomiony na mieliźnie wrak reprodukowano w wielu gazetach. Śmierci uchodźców w wyniku wywrotki pontonu albo zatopienia łodzi nie są efektowne ani heroiczne, ci ludzie nie padli w walce, nie dokonali żadnych spektakularnych czynów, niczym nie zasłużyli się na morzu. Najczęściej nikt ich nie widział. Pozostają zwykle w swojej beznadziejności, w rozpaczliwej ciszy, która je spowija.

Oto na naszych oczach pewien grecki mit, jeden z najważniejszych ze wszystkich opowieści o Morzu Śródziemnym, właśnie się ukonkretnia. Te bezimienne często istoty, ci ludzie bez tożsamości, ludzie o inicjałach N.N., o zbiorowym imieniu Nikt – to przecież współczesne emanacje zmierzającego do Itaki Odyseusza! U Homera Odys, przypominę, przedstawił się Polifemowi właśnie jako *Outis*, Nikt. Dla podstępного Odysa był to element „gramatycznej” gry z cyklopem, gry zwycięskiej¹⁷. W historii realnej Nikt – skrócony do N.N. – to czytelny kryptonim śmierci, a „gra”, w której wziął udział, jest przegrana.

Małe, zwyczajne, wątłe dramaturgicznie odyseje uchodźców – tak naprawdę odyseje *à rebours*, bo ci ludzie przecież nie płyną do domu, ale z domu uciekają – nie zostaną nigdy przez nikogo spisane, ich imiona nie będą opiewane w wierszu. Rzecz jasna to wpisanie w scenariusz mityczny w niczym nie uwzniośla ich śmierci, tak jak nie dodaje znaczenia ich realnym udrę-





kom podobieństwo do historii i losu Ikara. Tego Ikara, którego znikające w morskich odmętach nogi namalował Peter Bruegel w swoim brukselskim arcydziele. W obydwu wypadkach świat nie wstrzymał oddechu, nic się nie stało, życie potoczyło się własnym, przepisany codzienną rutyną torem. Pogrzebani w morzu uchodźcy, ci wszyscy, którzy przepadli bez wieści i bez imienia, w wiadomościach telewizyjnych i notatkach prasowych zostali zamienieni w liczbę, w niebudzący żadnych emocji abstrakt.

Powtarzam więc raz jeszcze: za naszej pamięci Morze Śródziemne stało się wielkim cmentarzyskiem, a jego wody – wodami śmierci. Nie da się już dzisiaj czytać arcydzieła Braudela bez pamięci o tej ludzkiej katastrofie, więcej: nie sposób widzieć już w Morzu Śródziemnym jedynie emblemat bogatej przeszłości naszej kultury i symbol cywilizacyjnej wielkości. Dla tysięcy uchodźców te wody stały się cmentarzem, przez lata będą dla nas – chcemy tego, czy nie – pytaniem, wyrzutem sumienia, oskarżeniem, może znakiem hańby.

3.

Interesuje mnie antropologia tych morskich odysei. Dlatego nie pytam o nie tak, jak zrobiłby to politolog, czy nawet historyk. Nie pytam więc o złożone przyczyny polityczne czy ekonomiczne tych ucieczek, nie powtarzam za publicystami: „Kto jest winien obecnej sytuacji?” ani: „Co z tym wszystkim zrobić?”. Nie próbuję też udzielać jednoznacznych odpowiedzi na naprawdę nieproste pytania: „Kto ma przyjąć uchodźców?”, „W jakiej liczbie?”, „Jak zapewnić im godziwe

warunki życia?”. Praca antropologa polega przede wszystkim na rzetelnym opisie i rozumieniu; decyzje i działania należą do polityków. Chciałbym więc – na ile to możliwe – uniezależnić się od dominującego w rozmowach o morskich (i nie tylko) uchodźcach doraźnego dyskursu politycznego i ideologicznego. Chodzi mi raczej o próbę głębszego zrozumienia tych traumatycznych doświadczeń. Pytam więc o to, czego dowiadujemy się z nowych odysei o tych bezimiennych umarłych w morzu, jak i o tych, którym się udało je przeżyć. Próbuję też pytać o to, czym one są – czym mogą być – dla nas, tu i teraz. Cmentarze uchodźców, te realne i te na dnie morza, przynoszą nam pewien rodzaj wiedzy, gorzkiej wiedzy¹⁸. Trzeba o niej mówić i trzeba z niej skorzystać.

Po pierwsze, z coraz większą siłą dociera do nas fakt pojawienia się na europejskim horyzoncie nowej / starej figury: uchodźcy. Kiedyś może się okazać, że to najbardziej emblematyczna postać XX stulecia, że bez uwzględnienia tej postaci nie będzie można pojąć osobliwości ubiegłego wieku. *Exodus* ludzi opuszczających swoje domy, swoje ojczyzny po rewolucji bolszewickiej czy w wyniku obydwu wojen światowych obejmuje miliony wygnańców. Szacunkowe dane z roku 2013 mówią, że ponad 230 milionów ludzi mieszka poza swoim rodzinnym krajem. Tego zjawiska nie da się już zamieść pod dywan. Nie może też umknąć naszej uwadze to, że uchodźcy z krajów swojego urodzenia to osoby o dziwnym statusie politycznym i prawnym. Jak proroczo pisał Giorgio Agamben:

Jeśli uchodźcy (których liczba w XX wieku nigdy nie przestała rosnać, tak że obecnie stanowią nie dająca się pominąć część ludzkości) reprezentują w ustroju nowoczesnego państwa narodowego element niepokojący, to dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że zrywając ciągłość między człowiekiem i obywatelem, między narodzeniem i narodowością, wpędzają w kryzys fikcję leżącą u początków nowoczesnej suwerenności. Ukazując jasno rozdział między narodzinami i narodem, uchodźca na chwilę wprowadza na scenę polityczną nagie życie, które stanowi jej wstępne założenie. W tym sensie jest on naprawdę, jak to sugeruje Arendt, „człowiekiem praw” – w osobie uchodźcy po raz pierwszy i jedyny „człowiek praw” naprawdę występuje ze zdjętą maską obywatela, która stale zakrywa jego oblicze. Z tej jednak racji jego figura jest tak trudna do politycznego zdefiniowania¹⁹.

Dla Agambena uchodźca to modelowe wcielenie *homo sacer*. W prawie rzymskim termin ten odnosił się do osoby wyjętej spod prawa, wykluczonej z religijnego i ziemskiego porządku prawnego. W dwuznaczności charakteryzującej łacińskie *sacer* (święty i przeklęty), *homo sacer* aktywizuje raczej to drugie, „negatywne” określenie. To ktoś, kogo można zabić, nie będąc winnym morder-

stwa, to ktoś, kto nie może zostać poświęcony bogom w ofierze, bo wówczas poświęcający winien byłby świętokradztwa. Dzisiejszy uchodźca to właśnie tak rozumiany *homo sacer*. Żyje na pograniczu włączenia i wyłączenia. Na własność ma tylko swoje życie, cała dotycząca go „reszta” istnieje w zawieszeniu. To postać paradoksalna, graniczna żyjąca już (nie „tam”, ale jeszcze nie „tu”), zamieszkuje obydwa te światy, nienależąc w istocie do żadnego z nich. Cięży nad nim ów permanentny status nierozróżnialności. To ten, kto samym swoim istnieniem burzy zastany ład społeczny, kto jest wyjątkiem w systemie. To osoba żyjąca na marginesie życia społecznego, w permanentnym stanie wygnania, niepewna swojej przyszłości. Jeszcze nie martwy, ale już nie całkiem żywy. Tak scharakteryzowany uchodźca / nowoczesny *homo sacer* stanowi także prawdziwą zagadkę prawną: nie będąc już częścią „dawnego” państwa / narodu / terytorium i nie będąc jeszcze częścią „nowej” struktury, żyje niejako poza obowiązującym prawem. Przeznaczeniem uchodźcy jest więc obóz, miejsce, w którym obowiązują przepisy prawne charakteryzujące stan wyjątkowy, czyli praktycznie rzecz ujmując: gdzie żadne prawa nie obowiązują. Co oznacza, że teoretycznie można z nim zrobić wszystko. Jeśli prawdą jest, jak chce Agamben, że uchodźcę można uznać za postać „centralną dla naszej historii politycznej”²⁰, to waga i znaczenie problemu uchodźczego radykalnie wzrasta. Przestaje być przejściową kwestią w doraźnej polityce europejskiej, a staje się jej trwałym ośrodkiem. Wówczas uchodźca to już nie „tylko” realny problem do rozwiązania. To także wyzwanie dla opisu antropologicznego (jego paradoksalny status mediacyjny) oraz dla zasad obowiązujących w obecnym prawodawstwie²¹.

Po drugie, nie dość przypominać, że ziemia, do której zmierzają desperacko przez Morze Śródziemne uchodźcy, jest wciąż – przynajmniej nominalnie – światem religii chrześcijańskiej. I ten chrześcijański – obojętnie na ile wciąż silny – komponent mentalności europejskiej winien skłaniać, tak by się mogło wydawać, do otwartego, pełnego sympatii (wyraz piszę z dywizem, by wskazać na obecność *pathos*, cierpienia, w tym słowie) myślenia o „obcych”. W chrześcijańskiej nauce są wystarczające podstawy do „pozytywnego” myślenia o doświadczeniu migracji i uchodźstwa. Niestety, nie jest to europejska norma²². Zmitologizowana i zmanipulowana wiedza o konflikcie chrześcijańsko-islamskim, sztucznie nakręcany strach przed „obcym” skutecznie utrudniają realistyczne postrzeganie sytuacji uchodźców. W tej sytuacji tysiące trupów osiadłych na dnie Morza Śródziemnego mogłyby stanowić przypomnienie o chrześcijańskich powinnościach w kwestii migracji. Mogłyby także być bolesnym punktem wyjścia do kolejnego w historii przemyslenia ewangelicznego przesłania.

Do tego potrzeba dwóch rzeczy: odważnej teologii i przede wszystkim właściwej diagnozy dotyczącej zasadniczych zmian w postrzeganiu naszych współczesnych tożsamości. Na przykład takiej: „W zglobalizowanym świecie, w którym często należymy do więcej niż jed-

nej grupy społecznej czy kulturowej, egzystencja jest z konieczności hybrydowa: wiecie się życie «poza miejscem», «na wygnaniu», «pomiędzy światami». Wszyscy jesteśmy migrantami lub współmigrantami”²³. Autorem tych słów jest Peter C. Phan – amerykański teolog (urodzony w Wietnamie!), a zacytowany fragment pochodzi ze studium, którego głównym tematem jest zarysowanie zrębów przyszłej teologii migracji. Trafną intuicję Phana w pełni potwierdza antropologiczna refleksja Jamesa Clifforda. To on jest autorem fundamentalnych dla zrozumienia świata ponowoczesnego tez: o niemającej precedensu w historii gatunku ludzkiej ruchliwości, o rozpadzie „starych” topografii, o „egzotyzacji” bliskich nam regionów, o nieuchronnie złożonych tożsamościach – zjawiskach, które generuje współczesna kultura mobilności²⁴. To on sformułował także proroczą uwagę o znaczącym przededefiniowaniu roli dwóch istotnych fenomenów w naszym świecie: zamieszkiwania i podróżowania, więcej: pisał o przemieszaniu się, nałożeniu na siebie tych dwóch, odrębnych kiedyś zjawisk (*traveling-in-dwelling, dwelling-in-traveling*²⁵).

W oparciu o powyższe rozpoznanie i uważną lekturę tekstu Ewangelii Phan wskazuje na potrzebę (ba, konieczność!) teologicznej refleksji migracyjnej. Podstaw takiego myślenia nie szuka daleko. Paradygmatyczną postać uchodźcy / migranta znajduje on w osobie... Chrystusa:

Migrant z krwi i kości przekraczający granice – Jezus, pełnił swą misję duszpasterską (...) w miejscach, gdzie stykały się granice i tym samym na skraju dwóch światów oddzielonych od siebie granicami. Sam, będąc Żydem granicznym, wciąż swobodnie przekraczał te granice w tę i we w tę – granice geograficzne, rasowe, seksualne, społeczne, ekonomiczne, polityczne, kulturowe, religijne. (...) Jako człowiek obcy i migrant Jezus z wdzięcznością i wdziękiem przyjmował gościnność okazywaną mu przez innych. (...) Będąc człowiekiem marginesu całe swoje życie, Jezus umiera również jako człowiek marginesu. Jego drastyczna śmierć na krzyżu była bezpośrednim efektem przekraczania przez niego granic i działalności duszpasterskiej na pograniczu (...). Już sama forma jego śmierci, tzn. ukrzyżowanie, wskazuje na fakt, że Jezus był wyrzutkiem, który umarł – jak podaje List do Hebrajczyków – „poza miastem”, poza obozem²⁶.

Tak osadzona w doświadczeniu ewangelicznym teologia migracji unika abstrakcyjnych liczb i statystyk, szereg: teorii prawniczych czy socjologicznych, a zakorzenia się każdorazowo w realnych historiach migrantów, w historiach ich cierpień, marginalizacji i doświadczenia utraty. Tym sposobem teologia migracji przestaje być ogólną „teorią”, ale traktuje przymusowe przemieszczanie i związane z nimi tragedie jako swoisty *locus theologicus*. Z tego punktu ponownie przygląda się doktrynie

chrześcijańskiej i pyta, w jaki sposób (w tym miejscu polski katolik byłby prawdziwie wstrząśnięty...) doświadczenia migrantów „rzucają wyzwanie i wzbogacają nasze tradycyjne koncepcje wiary chrześcijańskiej”²⁷. Ostatecznie, pisze Phan, doświadczenie migracji może być lustrem, w którym chrześcijanin odkrywa swoją prawdziwą tożsamość. Jest ona oparta na przekonaniu, że również „zadomowieniu” nie jest obce doświadczenie „migracji”, innymi słowy, że uchodźca, migrant jest realną częścią naszej tożsamości, a jego archetypiczną postacią jest *Deus Migrator*. Ten migracyjny komponent zdeponowany w ewangelicznym przesłaniu mógłby miarkować nieco nasz strach przed uchodźcami. Mógłby może nie tyle otwierać bezwarunkowo drzwi dla „obcych”, ile przynajmniej studiować w nas zapędy do bezrozumnej (i jak widać: rażąco niechrześcijańskiej) nienawiści wobec nich.

Po trzecie, wydaje mi się, że absurdalne śmierci na Morzu Śródziemnym mają szansę wzbudzić dziś na nowo dysputę o figurze Innego, Obcego. Jeszcze raz dają nam do odrobienia lekcję elementarnej empatii wobec kulturowej, religijnej i cywilizacyjnej inności, którą – zdawać by się mogło po licznych rozprawach XX-wiecznej antropologii – mamy już dawno za sobą. Silne reakcje ksenofobiczne, jakie w Europie wzbudzają te śmierci (albo brak reakcji na nie), upewniają, że ta intuicja jest trafna.

W niezwyklej książce: *Podbój Ameryki. Problem innego*, Tzvetan Todorov – w oparciu o dokumenty źródłowe – śledzi krok po kroku historię spotkania białych Europejczyków (hiszpańskich chrześcijan) z rdzenną ludnością Mezoameryki w wieku XVI. Odsłania skałę nieporozumień, stereotypów i fantazmatów, jakie za nim stały. Pokazuje tragiczne i krwawe skutki konkwisty, tego w istocie ludobójczego spotkania z innością. W zakończeniu swojego studium pisze o konieczności „poszukiwania prawdy”, udostępniania informacji, przede wszystkim po to, aby

przypominano sobie, co może się wydarzyć, jeżeli nie uda się odkryć innego. Bowiem inny pozostaje do odkrycia. Rzecz to zdumiewająca, ponieważ człowiek nigdy nie jest sam, i nie byłby tym, czym jest, bez swojego społecznego aspektu. (...) Można by cokolwiek zuchwale powiedzieć, że życie ludzkie zamyka się pomiędzy tymi dwoma ekstremami – tym, w którym *ja* ogarnia świat, i tym, w którym świat zostaje wchłonięty przez *ja*, pod postacią trupów i popiołów. A ponieważ proces odkrywania obejmuje kilka stopni – od postrzegania innego jako przedmiot, uwikłany w otaczający świat, po postrzeganie go jako podmiot, równy *ja*, choć od niego różny, przy nieskończonej ilości odcieni pośrednich – więc można zupełnie dobrze przejść przez życie, nie dokonawszy nigdy pełnego odkrycia innego (zakładając, że jest to możliwe). Każdy z nas musi to odkrywanie rozpoczynać od nowa, przy czym nie zwalniamy nas z tego poprzednie doświadczenia. Mogą nam jednak wskazać, jakie są skutki niewiedzy²⁸.

Tak, morski *exodus* uchodźców bez wątpienia pokazuje, że Inny jest wciąż do odkrycia. Europa to także – jak przypominał już dawno Leszek Kołakowski – kontynent, w którym narodziła się ta dziwna nauka, jaką jest antropologia, a więc postawa zakładająca chęć – mimo znanych trudności – przeniknięcia inności innego. Tak czy inaczej, w pewnym momencie swojej historii Europa w swoim rdzeniu okazała się zdolna do zakwestionowania własnych wartości i spojrzenia na siebie „cudzymi” oczami. Ta umiejętność miała stać się później źródłem zarówno jej siły, jak i słabości. Co ciekawe, Kołakowski przypomina przy tym jasną postać Bartolomé de Las Casas, krytykującego gwałtownie zbrodnie konkwistadorów, i to w imię tych samych wartości chrześcijańskich, które tym ostatnim służyły jako licencja na zabijanie²⁹. Kontynent europejski jest więc światem mentalnym, w którego genotyp wpisana jest krytyczna otwartość wobec obcych. Zdawać by się mogło, że w dziele oswojania Inności żaden inny kontynent nie zdołał zrobić więcej. Dlatego też ten szacowny kulturowy depozyt trzeba teraz odkurzyć. Nie po to, aby się nim nasładzać, ale po to, by dawał nam do myślenia i stał się czymś więcej niż wątpliwym tytułem do wątpliwej chwały. To prawda: Inny wciąż jest jeszcze do odkrycia, ale stosowne do tego narzędzia mamy pod ręką.

Skoro utopionym umarłym nie możemy już oddać żadnej przysługi, to może chociaż te tysiące absurdalnych śmierci na morzu mogą zwrócić nam język sensownej i odpowiedzialnej rozmowy z Innym. A to oznacza język uwolniony od impresywnych klisz ideologicznych i podsycanych przez polityczny cynizm resentymentów, które skutecznie zatruwają myślenie. Może ta potężniejsza katastrofa ludzka, której finału nie widać, pozwoli nam zobaczyć w Obcym – nie, nie brata, tak mocno bym nie szarżował, ale po prostu: człowieka, bliźniego. Co przy okazji pozwoli nam przyswoić sobie starą i jakby nieco zapomnianą lekcję antropologicznego relatywizmu, wedle którego człowiekiem można być na różne sposoby. A może też, poprzez zdystansowaną refleksję nad zjawiskiem migracji, do nieufnych i myślowo rozdartych dojdzie ta oto prosta myśl: że wojna, bieda, strach, cierpienie i śmierć są ponadkulturowe, nie znają granic. I że w tych, którzy ich zaznają, bez trudu możemy się rozpoznać.

4.

I już na koniec: obserwujący sytuację na Morzu Śródziemnym empatyczny Polak mógłby zrobić coś jeszcze. I to coś bardzo praktycznego. Na niewielkiej Lampedusie zaczyna brakować już miejsc na grzebanie wyłowionych z morza ciał. Część z nich przewożona jest na pobliską Sycylię, ale i to nie załatwia sprawy. W tej sytuacji bardzo racjonalny wydaje się pomysł ks. Wojciecha Lemańskiego (jego treść podaje za jego upublicznionym listem do Jarosława Mikołajewskiego):

Przecież Polska może zaproponować przyjęcie do siebie tych bezpiecznych – martwych uchodźców. Ministrowie spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych nie będą mieli problemu ze sprawdzaniem ich statusu i ewentualnym monitoringiem podczas pobytu w naszym kraju. Prezes partii rządzącej nie będzie już publicznie zamartwiał się zarazkami przenoszonymi przez przybyszów. Polscy duszpasterze wprawnie, za pół ceny, odprawią uroczystości pogrzebowe. Pani premier wraz z ministrem finansów rozliczą nasz kraj z kwot przeznaczonych przez Unię Europejską, by uniknąć ewentualnych kar finansowych za niewywiązywanie się z europejskich zobowiązań³⁰.

To zaskakująca w swej prostocie, ale wielce konstruktywna propozycja. Wiele parafii katolickich mogłoby pójść na takie rozwiązanie. Martwi uchodźcy to niegroźni uchodźcy, z całą pewnością nie zniszczą naszej religii, nie przerobią naszych kościołów na meczety, czego tak bardzo obawiali się liczni wierni wspierani przez swoich dzielnych pasterzy. W rzeczy samej: martwi uchodźcy nie są już dla żadnym zagrożeniem. Polak, wieczny katolik, demonstrujący przy każdej okazji swoje przywiązanie do abstrakcyjnych „wartości chrześcijańskich”, mógłby wreszcie się wykazać; mógłby zademonstrować niezmiernie pokłady tkwiącego w nim chrześcijańskiego miłosierdzia i przyjąć te trumny na naszą ziemię. Skądinąd ten gest doskonale wpisywałby się w polską mitologię zbiorową, według której żałoba jest permanentnym sposobem na życie, groby – niezbywalnym elementem rodzimego pejzażu, a śmierć – czarnym sztandarem, pod którym chronimy się wszyscy.

Przypisy

- ¹ F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, przeł. T. Mrówczyński, M. Ochab, wstęp B. Geremek, W. Kula, Gdańsk 1976, t. 1, s. 20.
- ² Tamże, s. 21.
- ³ F. Braudel, F. Coarelli, M. Aymard, *Morze Śródziemne. Region i jego dzieje*, przeł. M. Boduszyńska-Borowikowa, Gdańsk 1982, s. 5–6.
- ⁴ J.T. Kirby, *Odysseus and the Phaeacians. The City and the Ocean at the Beginning of Western Literature*, [w:] *The City and the Ocean. Journeys, Memory, Imagination*, red. J. White, I-Ch. Wang, Cambridge 2012, s. 29.
- ⁵ Braudel i inni, *Morze Śródziemne*, dz. cyt., s. 39.
- ⁶ Tamże, s. 6.
- ⁷ Tamże, s. 49.
- ⁸ W. Bauer, *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*, przeł. E. Kalinowska, zdjęcia S. Krupar, Wołowiec 2016, s. 85.
- ⁹ Tamże, s. 26.
- ¹⁰ Tamże, s. 9.
- ¹¹ Braudel, *Morze Śródziemne*, dz. cyt., s. 126.
- ¹² Bauer, *Przez morze*, dz. cyt., s. 13.
- ¹³ P. Matvejević, *Brewiarz śródziemnomorski*, przeł. D. Cirlić-Straszyńska, wstęp C. Magris, Sejny 2003, s. 150.
- ¹⁴ J. Mikołajewski, *Wielki przyływ*, Warszawa 2015, s. 21.

- ¹⁵ Tamże, s. 23, 29.
- ¹⁶ D. Sturis, *Pety, plastik, kości*, „Gazeta Wyborcza”, 31 grudnia 2015, s. 16.
- ¹⁷ O tym podstępnie Odysa pisze dokładniej Cezary Wodźński, por. tegoż, *Odys gość. Esej o gościnności*, Gdańsk 2015, s. 30–31.
- ¹⁸ W tym zdaniu naśladuję Imre Kertésza, który napisał o Zagładzie te pamiętne słowa: „Holocaust niesie ze sobą wartości, gdyż za cenę wielkich cierpień dał wielką wiedzę i kryje się w nim wielka wartość moralna”, por. I. Kertész, *Holocaust jako kultura*, [w:] tegoż, *Język na wygnaniu*, przeł. E. Sobolewska, E. Cygielska, Warszawa 2004, s. 68.
- ¹⁹ G. Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, Warszawa 2008, s. 180–181.
- ²⁰ Tegoż, *My uchodźcy*, przeł. K. Gawlicz, [w:] Agamben. *Przewodnik „Krytyki Politycznej”*, Warszawa 2010, s. 31.
- ²¹ Agamben postuluje, by przestać traktować Deklarację Praw jako zbiór praw wiecznych i metaprawnych. Sugeruje, by dostosować je do ich faktycznej funkcji, jaką pełnią w nowoczesnym państwie. Oznaczałoby to – mówiąc najogólniej – oderwanie nagiego, naturalnego życia od prawnego porządku państwa narodowego. Uchodźca jest w tych ramach elementem tak niepokojącym dlatego, że przełamując tożsamość człowieka i obywatela, narodzenia i narodowości, ukazuje bez maski fikcję pierwotnej suwerenności.
- ²² Kategoryczna odmowa przyjęcia jakiegokolwiek liczby uchodźców przez katolicką (deklaratywnie) Polskę jest tu wystarczająco wymownym świadectwem. Prawdę powiedziaławszy, postawa taka to całkowite sprzeniewierzenie się wobec ducha chrześcijańskiego. Nb. jest to jeden z licznych faktów potwierdzający płytkość zakorzenienia Ewangelii w polskim społeczeństwie.
- ²³ P.C. Phan, *Deus Migrator: Migracja teologii i teologia migracji*, przeł. O. Łabendowicz, „Liberté!”, XXIII, 2016, s. 106.
- ²⁴ J. Clifford, *Kłopoty z kulturą. Dwudziestowieczna etnografia, literatura i sztuka*, przeł. E. Dżurak i in., Warszawa 2000, s. 21.
- ²⁵ J. Clifford, *Routes. Travel and Translation in the Late Twentieth Century*, Cambridge–London 1997, s. 36.
- ²⁶ Phan, *Deus Migrator*, dz. cyt., s. 102–103.
- ²⁷ Tamże, s. 97.
- ²⁸ T. Todorov, *Podbój Ameryki. Problem innego*, przeł. J. Wojcieszak, Warszawa 1996, s. 271.
- ²⁹ L. Kołakowski, *Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturowego*, [w:] tegoż, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1983, s. 14.
- ³⁰ J. Mikołajewski, *Nasze groby stoją dla was otworem*, „Gazeta Wyborcza”, 11–12.06.2016, s. 38.

Wszystkie zdjęcia: Zuzanna Kowenicka

Zamieszczone w tekście fotografie dokumentują wystrój Grobu Pańskiego w krypcie kościoła Przemienienia Pańskiego oo. Pijarów w Krakowie (2017). Aranżacja jest dziełem Jakuba Zawadzkiego. Według jego słów: „Wystrój Grobu Pańskiego jest hołdem i upamiętnieniem bezimiennych osób, które wskutek wojny, napięć i konfliktów, uciekając z tych i innych powodów, utonęły w czasie przeprawy zatłoczonymi łodziami przez Morze Śródziemne w ich drodze ku bezpiecznemu życiu w Europie”.